

*Jerzy Żelnic*

*Szczerze nie tylko o sobie*



**WYDAWNICTWO  
TRZECIE OKO**

Warszawa 2022

Zadanie publiczne pn. *Włączmy niewłączonych - mazowiecka kultura dla wszystkich* dofinansowane ze środków z budżetu Województwa Mazowieckiego

**Mazowsze.**  
serce Polski

**Mazowsze >> dla organizacji  
pozarządowych >**

Kiedy spoglądam z dystansu na minione lata, muszę powiedzieć, że miałem w życiu sporo szczęścia i dostałem bardzo wielu łask od Pana Boga, ale moje doświadczenia nie są materiałem na film przygodowy, ani nawet ciekawą obyczajówką. Żyłem tak jak każdy. Usiłowałem gonić za szczęściem – w takiej postaci, jaka w danej chwili wydawała mi się godna starań, realizowałem się zawodowo jako aktor, rodzinnie jako mąż i ojciec, duchowo jako syn marnotrawny, który po latach indyferencji religijnej odnalazł drogę do Niebieskiego Ojca. Oczywiście zdarzały mi się chwile trudów i zmagania z losem, chwile zagubienia, zejścia z właściwej drogi. Zawsze jednak umiałem – nieraz w ostatniej chwili – przypomnieć sobie, co jest naprawdę piękne, dobre i warte starań. Historia, jakich wiele.

Mam poczucie, że moje życie przez lata różnych doświadczeń zmieniło się na lepsze, dostałem wtajemniczenia – udało mi się zrozumieć, jaki jest sens naszego przebywania na ziemi, zrozumiałem, co tak naprawdę powinno być motorem naszych działań, do czego powinniśmy dążyć. To zobowiązuje. Nawet gdy wiąże się z pewnym publicznym ekshibicjonizmem, warto się na niego zdobyć, jeśli dzięki temu ktoś zmieni swoje postępowanie, wróci na dobrą drogę, coś ważnego zrozumie.

\*\*\*

Można powiedzieć, że w dużej mierze byłem dzieckiem podwórka, wychowywałem się pośród rówieśników. Bawiliśmy się na gruzach Warszawy – oczywiście w wojnę.

Mając w pamięci ten krajobraz po walkach powstańczej Warszawy, po latach ogromną wagę przykładałem do poezji Baczyńskiego, Gajcego, Trzebińskiego. Byli dla mnie jak starsi koledzy, którzy zostawili mi swoje dziedzictwo poetyckie. Później więc, już jako aktor, czułem się zobowiązany przekazać je młodszemu pokoleniom. Jeździłem po kraju, odwiedzałem różne szkoły i deklamowałem słowa o „czasie kalekim”, które dla mnie nie były tylko aktorską robotą. Zresztą

patriotyzm pielęgnowany w naszej rodzinie od pokoleń karmił się świadectwami największego poświęcenia i oddania, na jakie może się zdobyć człowiek dla Ojczyzny. Pierwsza lekcja, jaką dostałem od życia, była więc lekcją patriotyzmu.

Lekcja druga wpoila mi odpowiedzialność. Kiedy miałem siedem lat, urodził się mój młodszy braciszek Piotr, od pierwszych dni niepełnosprawny. Musiałem się nim opiekować – był bezbronny, narażony na drwiny rówieśników i nieprzyjemności z powodu swojej niedyspozycji. Właściwie już od dziecka byłem jego drugim ojcem. Wspierałem go, wielu rzeczy uczyłem.

Trzecią lekcją życia była dla mnie zmieniająca się sytuacja polityczna, dzięki której nauczyłem się samodzielnie, krytycznie oceniać rzeczywistość, wyrabiać sobie własne poglądy. Już jako dziesięcioletek wysłuchiwałem odczytywanego na jakimś zebraniu partyjnym u mamy w PWN-ie referatu Chruszczowa O kulcie jednostki i jego następstwach. Pierwszy raz usłyszałem, że ten dobry dla wszystkich dzieci wujek Stalin był cynicznym ludobójcą. To był mój pierwszy przebłysk dziecięcej świadomości. Potem przyszedł Gomułka, a z nim wielki entuzjazm i nadzieje, że będziemy mogli realizować nasze narodowe patriotyczne cele, że będziemy mieć przynajmniej częściową suwerenność. Dobrze pamiętam też powstanie na Węgrzech w październiku 1956. Miałem 11 lat i, jak wielu moich rówieśników, włączyłem się w powszechną akcję pomocy Polaków dla węgierskich braci. W 1968 roku skończyłem studia, byłem więc młodziutkim, świeżo upieczonym, ale już szalenie popularnym aktorem. Oczywiście z pełną świadomością brałem udział w manifestacji 8 marca na Uniwersytecie Warszawskim, 9 marca przed Politechniką, później na Krakowskim Przedmieściu. Wielu kolegów zegnaliśmy na dworcu gdańskim, między innymi Sawkę, Ledermana, naszych przyjaciół ze szkoły teatralnej. Moja rodzina nie wyobrażała sobie emigracji. Byliśmy gotowi zostać. Na dobre i złe.

\*\*\*

Do dwudziestego czwartego roku mojego burzliwego towarzysko-uczuciowego życia nie miałem żadnych potrzeb religijnych, nigdy się nie modliłem. Religia nie była obecna ani w moim domu, ani w szkole. Rodzice wpoili mi uniwersalne wartości, zresztą wspólne dla chrześcijan i żydów.

Ateizm nie był wtedy niczym niezwykłym. Ba, wręcz był mile widziany przez władze, dlatego ani ja, ani rodzice nie mieliśmy z tego powodu żadnych problemów. Spokojnie więc skończyłem podstawówkę, a potem trafiłem do szkoły im. Dąbrowskiego „przy Tamce”. Byłem jeszcze bardzo dobrym uczniem, z łaciny przygotowywałem się nawet do olimpiady. Ale notorycznie podpowiadałem kolegom i miałem na lekcjach zbyt wesoły nastrój. Nauczyciele w końcu zaczęli mieć tego dosyć i w połowie dziewiątej klasy zasugerowano, że powinienem odejść ze szkoły. Przeniosłem się do Reytana, więc dostałem kopa w górę. Wtedy jeszcze była to szkoła męska. Dalej jednak mocno rozrabiałem. Liceum skończyłem z trudem, bo – zwłaszcza w czasie burzy i naporu hormonów – bardziej mnie interesowały kobiety, wino i śpiew niż nauka. Pobiłem rekord w liczbie opuszczonych lekcji, zbierało się tego ponad trzysta. Dostałem dwóję ze sprawowania, ja i mój kolega, chyba jako jedyni w całej Warszawie. Biedna mama często była wzywana do szkoły. Tak... nie rokowałem najlepiej...

A jednak dostałem się, po średnio zdanej maturze, do szkoły teatralnej.

\*\*\*

Był rok 1969, czerwiec, spacerowaliśmy z Urszulą, moją przyszłą żoną, pamiętam, po placu Na Rozdrożu i ja nagle zapytałem: „Urszulko, a może my byśmy się tak pobrali?”. Wyglądała na zaskoczoną i w pierwszej chwili odmówiła – nie czuła się gotowa, była jeszcze bardzo młoda. Po chwili zastanowienia uległa mojej prośbie, ale postawiła mi jeden warunek: ślub musi być w kościele.

Bez wahania na to przystałem, początkowo nawet nie dlatego, że miałem potrzebę odnalezienia wiary, Absolutu, odpowiedzi na najważniejsze pytania. Chciałem po prostu stać się częścią świata mojej żony, rozumieć filozofię życiową,

---

za którą ona podążała, dogłębnie poznać tę kulturę, która była dla niej ważna. Oczywiście, aby przyjąć sakrament małżeństwa, musiałem przejść całą tę drogę, którą katolicy stopniowo przechodzą od urodzenia – począwszy od chrztu przez komunię i na bierzmowaniu skończywszy. Musiałem się nauczyć modlitw, pieśni, poznać prawdy wiary, dogmaty Kościoła, słowem – odbyć przyspieszoną katechezę. Datę ślubu ustaliliśmy na wrzesień, miałem więc na to wszystko zaledwie cztery miesiące. Na szczęście byłem pod opieką znakomitego duszpasterza, śp. księdza Drożdżewicza z kościoła Bożego Ciała w Krakowie (od roku byłem członkiem znakomitego zespołu Starego Teatru). Ksiądz potrafił rozbudzić we mnie najpierw ciekawość, potem żarliwość, a wreszcie miłość do Boga. Dzięki niemu udało mi się spełnić warunek niezbędny, aby wszystkie sakramenty były przeze mnie przyjęte świadomie i ważne, uznane przez Kościół katolicki.

I tak czternastego września, w dniu moich dwudziestych czwartych urodzin i w święto Podwyższenia Krzyża, wzięliśmy z Urszulką ślub. Uroczystość odbyła się na warszawskim Starym Mieście, w kościele pw. św. Marcina. Niestety wybitnemu fotografowi śp. Edwardowi Ciołkowi zdarzyło się przeświecić wszystkie nasze zdjęcia. Zachowały się tylko te ze ślubu cywilnego.

Nasze życie zaraz po ślubie nie było sielankowe, ale dotyczyło to – i chyba nadal dotyczy – większości młodych par w Polsce. Mieszkaliśmy na piątym piętrze Teatru Starego, w skromnym, siedmiometrowym pokoiku bez łazienki. Za lodówkę służył nam okienny parapet. Było tak ciasno, że niewiele mebli mogliśmy tam wcisnąć poza malutkim tapczanikiem. Żeby się na nim pomieścić we dwoje, musieliśmy spać z Urszulką na tym samym boku i niemal na komendę zmieniać pozycję. Byliśmy jednak szczęśliwi, cieszyliśmy się swoją bliskością, jak to w pierwszych miesiącach po ślubie.

Niestety sielanka bardzo szybko przeistoczyła się w prozę życia – zaczęliśmy mieć dla siebie coraz mniej czasu. Ja byłem rozchwytywanym aktorem, dostawałem coraz więcej propozycji, nierzadko wyjazdowych, Urszulka pracowała jako charakteryzatorka w telewizji na krakowskich Krzemionkach. Widywaliśmy się wieczorami, zmęczeni po całym dniu. Małe mieszkanie także zaczęło być

problemem, przypominało pokój w podrzędnym hotelu, a nie przytulne gniazdko młodej pary. Zauważyliśmy, że coraz bardziej się od siebie oddaliśmy.

Wiedziałem, że Urszula zawsze marzyła o dużym, ciepłym domu. Początkowo nie było nas stać na coś całkiem swojego, wiedzieliśmy jednak, że nie możemy dłużej zostać w teatralnej dziupli. Na naszą decyzję o opuszczeniu Krakowa wpłynęły także sankcje wymierzone w Stary Teatr, a osobiście w drogiego nam dyrektora Zygmunta Hübnera. Nie była mu obojętna ograniczona suwerenność naszej Ojczyzny, mówił, że „lubi się wtrącać”. Władzy się to nie podobało. Zrezygnował po trzeciej zdjętej z afisza sztuce.

Wróciliśmy więc do Warszawy, miasta naszego dzieciństwa i naszej bujnej młodości. Ja zaangażowałem się do Teatru Dramatycznego, Ula do warszawskiej telewizji. Po czterech latach dzielenia mieszkania z rodzicami Urszulki postanowiliśmy zrobić nadbudówkę na parterowym budyneczku teściów. Postawiliśmy piętro w pół roku, w tak zwanym systemie gospodarczym (byłem pomocnikiem murarza). To był nasz pierwszy dom z prawdziwego zdarzenia. Urszulka mogła się wreszcie realizować jako gospodyni. Widziałem, jaką radość sprawiało jej zarządzanie wewnątrz, miała znakomite pomysły, świetne oko i zdolności manualne, które w czasach wszechpanującej szarzyzny socjalistycznej pozwalały jej realizować niemal wszystkie projekty. Potrafiła własnoręcznie wykonywać drobne sprzęty domowe: abażury, dywany, maty, kapy... Celnie zestawiała kolory, dbała o najmniejsze detale, które sprawiały, że nasz dom był przytulny i ciepły, taki, jaki sobie wymarzyła. Nauczyła mnie otaczać się pięknem, nie luksusem. Potrafiła także świetnie gotować – szkoła jej mamy. Ja wtedy, jak większość mężczyzn, kończyłem swoje umiejętności kulinarne na jajecznicy.

Ale tym, co kładło się największym cieniem na naszym związku, była tragiczna decyzja o usunięciu ciąży w 1968 roku. Przed jej maturą, kiedy ja zaczynałem po studiach pracę w Krakowie. Gdyby wtedy zwierzyła się swojej mamie, gorliwej katoliczce! Byliśmy młodzi, sądziliśmy, że przecież mamy jeszcze czas na powiększenie rodziny. Urszulka musiała myśleć o skończeniu szkoły, ja byłem u progu kariery, a dziecko to przecież obowiązki, rezygnacja z siebie. Nie

chcieliśmy jeszcze z siebie zrezygnować – dopiero rozpoczynaliśmy życie we dwoje! Tyle jeszcze mogło nas czekać wspólnych przeżyć, podróży, nowych przyjaźni, zawodowych wyzwań! Nie było w tym wszystkim miejsca na dziecko! Byliśmy jeszcze tak nieświadomi, nie wiedzieliśmy, że to decyzja, która na zawsze okaleczy naszą psychikę, zrujnuje zdrowie Urszulki, nie mieliśmy też pojęcia, jak wielki to grzech... W tamtych czasach nie mówiło się jeszcze o tym wszystkim otwarcie. Dopiero po latach na prelekcji u dominikanów obejrzelśmy film Niemy krzyk i wtedy zaczęła do nas docierać cała prawda o aborcji. Oglądając ten straszny dokument, oboje po prostu płakaliśmy. I piszę o tym wszystkim nie dlatego, żeby oczyścić sumienie, zdobywając się na publiczną spowiedź. Chciałbym, żeby moje słowa były przestrogą dla wszystkich, którzy choćby pomyślą o aborcji. Nie dajcie się omamić, aborcja to nie jest rozwiązanie problemów, tylko ich źródło! Następna ciąża była bowiem patologiczna. Lekarze z trudem uratowali życie Uli, ale i szansę na macierzyństwo.

Potem lata leczenia, żeby jednak mieć choć to jedno upragnione dziecko. Ile było cierpień, zwątpień i nadziei! Po dwunastu latach, dzięki heroicznym wręcz poświęceniom Urszula utrzymała ciążę – leżała przez sześć miesięcy w szpitalu. Wreszcie miłosierny Bóg dał nam nagrodę. Dwudziestego pierwszego października 1981 roku (w dniu swoich imienin!) urodziła synka. Dała mu imię Mateusz, nie wiedząc, że to imię znaczy Boży Dar.

Mój syn jest moim przyjacielem, z nikim, poza żoną, nie łączyła mnie tak silna i tak wyjątkowa więź i myślę, że z nikim więcej mnie nie połączy. Czasem to przyjaźń trudna, zwłaszcza wtedy, kiedy w naszej relacji dominują moje ojcowskie nawyki i miałbym ochotę niemal postawić do kąta swoje dorosłe dziecko, bo robi coś nie po mojej myśli. Staram się jednak opanowywać takie odruchy, pamiętając, że każdy ma prawo do dokonywania własnych wyborów, nawet za cenę nieuchronnych błędów.

Mateusz się ożenił, przyszedł na świat wnuki. Najpierw pojawił się Franio, pierworodny syn Mateusza, a po siedmiu latach – Klara. I jeszcze najmłodsza, Helenka. Nawet nie przypuszczałem, że rola dziadka będzie dla mnie tak cennym



i ważnym życiowym zadaniem. Sam miałem niestety tylko jedno dziecko, a zajęty swoją karierą, nie do końca mogłem uczestniczyć w jego wychowaniu. Ale los zrekompensował mój ojcowski niedosyt. Staram się być dziadkiem, który służy życiową radą, wspiera i rozumie. Chwile wspólnej zabawy, lektury, czasem modlitwy – mam nadzieję, że zasłużę na dobrą pamięć moich wnuków.

\*\*\*

Zadziwiające, jak Pan Bóg kieruje ludzkimi losami. Czasami, kiedy znajdujemy się na dnie rozpaczy, wydaje nam się, że nasze życie to pasmo nieszczęść i niesprawiedliwości, tracimy zaufanie do Niego i do tego, że On doskonale zarządza naszym życiem, a wystarczy mu zaufać, żeby wszystko przetrwać. Ostatnie lata z Urszulką były dla nas wszystkich bardzo trudnym doświadczeniem. Miewałem chwile zwątpienia i rozpaczy, ale otuchy zawsze dodawała mi myśl, że nie jestem sam – Pan Bóg jest blisko mnie i wie, gdzie jest właściwą ścieżką do siebie tylko znanego ważnego celu.

Opieka nad chorą żoną była dla mnie lekcją pokory, lekcją empatii, zrozumienia i cierpliwości dla niedomagającego człowieka. Musiałem zwolnić, nie angażować się tak intensywnie zawodowo i z pokorą służyć tej, której ślubowałem, że nie opuszczę jej aż do śmierci. Gdy tak pochylałem się nad cierpiącą Urszulką, często rozmyślałem o naszym małżeństwie, o chwilach pięknych i radosnych, i o tym, co – przeważnie z mojej winy – było bolesne i dalekie od ideału. Kiedy Mateusz był jeszcze niedojrzały, często się z Urszulą kłóciliśmy. Miała mi za złe, że zbyt często nie ma mnie w domu, a jak już jestem, to swoją pobłażliwością dla syna rujnuję to, co ona starała się wypracować w codziennym wychowaniu. Ale było też wiele wspólnie przeżywanego szczęścia. Mogliśmy realizować naszą pasję, jaką były podróże, nadając im dodatkowo wymiar duchowy, wybieraliśmy bowiem zwykle pielgrzymie szlaki, które przez wieki kształtowały duchowość chrześcijańską. Odwiedzaliśmy więc polskie i zagraniczne sanktuaria, krocząc śladami świętych, a także odpoczywaliśmy pośród piękna krajobrazu, ciesząc się

morzem, słońcem i urodą zabytków. Pielęgowaliśmy duchowe relacje z ludźmi, często ludźmi Kościoła, i wymienialiśmy uwagi na temat wspólnych lektur. To wszystko pogłębiało naszą przyjaźń, było dodatkowym kapitałem dla trwałości naszego związku.

W 2009 roku wybraliśmy się w ostatnią, niestety, podróż Urszulki do Włoch. Świętowaliśmy podwójną rocznicę: czterdziestolecie ślubu i sześćdziesiąte urodziny żony. Zwiedzaliśmy po raz kolejny Wieczne Miasto, dotarliśmy także do San Giovanni Rotondo, gdzie akurat wystawiono doczesne szczątki świętego ojca Pio, postaci bardzo nas inspirującej.

A szczególnie zapisał się w naszej pamięci rok 2000, Rok Jubileuszowy. Zwłaszcza Środa Popielcowa, która przypadła wówczas akurat w Dniu Kobiet. Siedzieliśmy pośród rodaków, w odległym rzędzie ławek. Nagle podszedł do nas ojciec Hejmo i zaprowadził do ołtarza – w ten sposób znaleźliśmy się w kilkunastoosobowej grupie, która miała dostąpić przywileju posypania głowy popiołem przez samego papieża. Uczestniczyliśmy w pięknej mszy, choć Papież był już wtedy ogromnie zmęczony i słaby. Nadchodzi moment pochylenia głów u stóp Jana Pawła II. Ruszają pierwsi dostojni kardynałowie, a tu niespodziewanie ceremoniarz papieski, ksiądz Konrad Krajewski, zatrzymuje eminencje gestem i... mojej Urszuli daje pierwszeństwo! W Dniu Kobiet Ula ma w ten sposób reprezentować płęć piękną! Arturo Mari (z którym poznałem się podczas pokazu polskiej wersji filmu Przyjaciół Boga) robi pamiątkowe zdjęcie, ale akurat w tym momencie wjechała przed obiektyw taca z popiołem i na wszystkich zdjęciach widać tylko piękną fryzurę mojej żony. Sprawdziliśmy w różnych rzymskich redakcjach – wszędzie tylko czubek głowy. Pomyślałem później, że może to był jakiś znak...

Pan Bóg, odbierając mi ukochaną żonę w kwietniu 2014 roku, w Niedzielę Miłosierdzia, dał mi równocześnie cel i nadzieję. Wiedziałem, że nie mogę się nad sobą użalać, bo mam jeszcze tu dużo do zrobienia. Uświadomiłem sobie, że teraz to ja jestem spoiwem naszej rodziny, że muszę przejąć obowiązki Urszulki, która zawsze była naszym spiritus movens, dbała o to, żebyśmy się wspierali, byli

blisko siebie, zawsze darzyli się szacunkiem i miłością. Uświadomiłem sobie, że mimo dość już zaawansowanego wieku ciągle mogę – i wręcz powinienem – intensywniej służyć innym. Że po miesiącach odejścia w cień wymuszonego sytuacją domową mam jeszcze sporo energii, aby lepiej niż do tej pory krzewić najważniejsze wartości, mając w sercu zawołanie: Bóg – Honor – Ojczyzna.

Niezbadane są wyroki Boże, ale jednego możemy i powinniśmy być pewni: Pan nigdy nie działa na naszą niekorzyść. Czasem poddaje nas próbom, żeby kształtować nasz charakter, silną wolę, otwierać oczy na to, co naprawdę ważne. Oczywiście, tęsknię za Urszulką, ale to tęsknota taka jak za kimś, kto wyjechał tylko na jakiś czas. Bo przecież kiedyś znowu się spotkamy i wtedy już nic nas nie rozdzieli...

\*\*\*

Kiedy dzisiaj, z perspektywy ponad czterdziestu pięciu lat na scenie, a ponad pięćdziesięciu od pierwszego filmu, oceniam mój wybór szkoły teatralnej i zawodu aktora, muszę stwierdzić, że zdecydował o nim przypadek. Nie kierowałem się wyższymi uczuciami, nie przyświecała mi misja, którą zrozumiałem dopiero po kilku latach pracy. Podjąłem decyzję o wyborze życiowej drogi w sposób kompletnie nieodpowiedzialny: była to po prostu młodzieńcza tęsknota za przygodą. Próżno szukać zdrowego rozsądku, kalkulacji, nie miało to nic wspólnego z powołaniem.

Myślałem zresztą wtedy całkiem serio o studiowaniu anglistyki. Złożyłem papiery na Uniwersytet Warszawski. Uczyłem się języka od dziecka, rodzice bardzo dbali o moje wykształcenie filologiczne, a ja rzeczywiście miałem w tym kierunku spore zdolności. A tu nagle, ku własnemu zaskoczeniu, dostałem się, w dodatku z bardzo dobrym wynikiem, do szkoły teatralnej. Zdawałem razem z Danielem Olbrychskim i moją pierwszą miłością, Barbarą Brylską.

Po dwóch czy trzech miesiącach studiowania wygrałem rolę w Faraonie!



Rola w Faraonie była dla mnie ogromnie cennym doświadczeniem: jak koncentrować się w skrajnie trudnych warunkach klimatycznych, pośród tłumu statystów, jak utrzymać zasób energii twórczej przez godziny oczekiwania na realizację zdjęć, jak wytrzymać presję kilkakrotnie poprawianych ujęć.

Kontakt z kamerą, współpraca z wybitnym reżyserem i znakomitymi aktorami to dla adepta sztuki filmowej bardzo wiele. Popularność i sława, jaką zdobyłem, niezwykle podniosły moje ego. Stałem się rozpoznawalny, ludzie się do mnie uśmiechali, prosili o autografy, a piękne młode dziewczyny posyłały mi zamglone spojrzenia. To wszystko bardzo dużo znaczy dla młodego chłopaka. Nie wspominając już o walorze przygodowym całego przedsięwzięcia. Sceny do filmu kręciliśmy w Egipcie i Uzbekistanie. Niektóre wymagały wręcz kaskaderskich umiejętności. Szczególnie utkwiły mi w pamięci ryzykowne jazdy na rydwanach. Były one wykonane w większości z dosyć nietrwałego materiału, jakim jest drewno. Zdarzało się, że z takiego jadącego z dużą prędkością pojazdu odpadały koła. Najpierw jedno – rydwan dalej pędził, a za chwilę gubił drugie koło. Żeby się ratować, trzeba było gwałtownie wpędzać konie w głęboki, pustynny piach. Przydało się wtedy moje wysportowanie, jakoś wychodziłem bez szwanku.

Tuż po ukończeniu studiów, w pamiętnym roku 1968, musiałem odbyć szkolenie wojskowe. Nie dostałem przydziału pracy w żadnym warszawskim teatrze i dlatego, jeszcze będąc w koszarach, zacząłem szukać jakiegoś planu awaryjnego. Wprawdzie chciałem zostać w Warszawie – byłem związany z tym miastem, miałem do niego wielki sentyment, no i w stolicy mieszkała przecież moja rodzina – ale co było robić, skoro Pan Bóg miał wobec mnie inne plany. Napisałem z wojska do Zygmunta Hübnera, który od 1963 roku był dyrektorem Teatru Starego w Krakowie, i zapytałem, czy nie zechciałby mnie przyjąć do swojego zespołu. Zgodził się ochoczo i nawet zabrał mnie swoim samochodem do Krakowa. Zamieszkałem przy Wrzesińskiej 30 razem z Hübnerami, ich małą córeczką Joasią i psem Bęckiem (zajmowali dwa pokoje) oraz Jankiem Nowickim.

Pierwszy mój sezon teatralny to było właściwie terminowanie. Dużo grałem, ale raczej rólki niż role. Było też trochę zastępstw. Szczególnie jedno zapamiętałem.

U progu sezonu wybrałem się na sławne już przedstawienie Mojej córeczki Rózewicza w znakomitej reżyserii Jarockiego. Jako świeżo pozyskany członek zespołu wchodzę od strony aktorskich garderób, zdejmuję płaszcz, a tu nagle dopada mnie chyba asystent Jarockiego i błaga mnie, żebym szybko nauczył się dwóch zdań, które były udziałem jednego z epizodystów. „Aktor grający główną rolę nie dotarł do teatru, pewnie przecenił swoją odporność na alkohol – mówił do mnie nerwowo – musimy w pół godziny zamienić się rolami, żeby uratować spektakl!”. Nietrudno się domyślić, jakie napięcie mi towarzyszyło, kiedy byłem prowadzony pod rękę przez wybitną aktorkę, panią Bednarską, po scenie, której wcześniej na oczy nie widziałem! Oczywiście nawet słowa z siebie nie wydusiłem... Taki był mój debiut w moim pierwszym teatrze.

Pod koniec tego niesatysfakcjonującego mnie sezonu, zniechęcony, postanowiłem rozpocząć studia na wydziale psychologii na Uniwersytecie Jagiellońskim. Miałem już nawet wyznaczony termin egzaminu z biologii. Ale „człowiek strzela, Pan Bóg kule nosi” (o czym przekonał się 13 maja 1981 roku Ali Ağca). Nawet jeszcze nie zacząłem sobie przypominać, czego mnie uczono kiedyś na biologii, a tu Jerzy Jarocki proponuje mi rolę „siostry Inez” w Mniszkach Maneta. Rzecz dzieje się w czasie rewolucji kubańskiej. Trzech bandziorów, najmłodszy (ja) – niemo- wa, ukrywa się w jakimś podziemiu, w sutannach, być może zabitych, mniszek. Jako człowiek dociekliwy, wychowany na metodzie Konstantego Stanisławskiego, postanowiłem zbliżyć się do środowiska głuchoniemych, aby poznać lepiej ich mentalność i reakcje. Dzięki mojemu bratu Piotrowi, który nie ma na szczęście aż takich kłopotów, już miałem trochę doświadczeń z niepełnosprawnością, toteż nie było mi trudno zaadaptować się w tym nieco izolowanym gronie.

Rola okazała się sporym sukcesem. Pobiliśmy też rekord pod względem czasu trwania, modnej wówczas na scenach, walki. Podobno w tej bijatyce z Sadeckim i Bińczyckim wykazałem się odwagą i dużą sprawnością.

Rok 1975 był ważny nie tylko dla polskiego teatru, ale też dla mnie osobiście – z perspektywy czasu jestem skłonny go nazwać punktem zwrotnym w moim życiu zawodowym. Wziąłem wówczas udział w warsztatach Petera Brooka. Odbły się

one w Laboratorium Jerzego Grotowskiego we Wrocławiu, właśnie w związku ze zorganizowaniem w Polsce Teatru Narodów.

Peter Brook, wybitny brytyjski reżyser teatralny, poświęcił naszej dwunastoosobowej grupce studentów i aktorów (pośród nich Rysia Hanin, Jurek Radziwiłowicz i Krzysiek Gordon) trzy dni na ćwiczenia z improwizacji. Ja dostałem się do tego grona w zasadzie przypadkiem – w związku z tym, że Rysiek Peryt nie mógł akurat wtedy pojechać, wskoczyłem w jego miejsce. Brook uruchomił we mnie zdolność improwizowania, uświadomił mi tę prawdę, że kiedy wchodzę na scenę, zawsze jest premiera. Że teatr nie musi tracić z dnia na dzień swojej żywotności. Przekonał nas, że aktor zawsze rozwiązuje równanie z trzema niewiadomymi: jestem dziś inny niż wczoraj, mój partner nieco inaczej gra i publiczność jest inna. W związku z tym w owym trójkącie – ja, on, oni – jest wiele niuansów, które ożywiają cowieczne wydarzenie i dzięki temu teatr nie dusi w swojej rutynie, ciągle żyje, ciągle jest czymś, co dzieje się wciąż od nowa.

Kiedy w 1970 roku ponownie osiedliśmy w Warszawie, związałem się z Teatrem Dramatycznym, ale tam mi się średnio wiodło. Po dwóch latach Gustaw Holoubek został dyrektorem, a jego ukochanymi młodymi aktorami byli Marek Kondrat i Piotrek Fronczewski, ja dostawałem role nieciekawe i dlatego w 1974 roku zdecydowałem się na podróż po Polsce – występowałem gościnnie.

Zaczął się od Gniezna. Powierzono mi tam tytułową rolę w *Mindowe Słowackiego*, w reżyserii Forda – Hanaoki, z muzyką Czesława Niemena. W 1976 był Szczecin – wspomniana sztuka *Macbett* Ioneski, ja w roli Banca. Potem uległem następnej pokusie: Lidia Zamkow zaproponowała mi główną rolę Dymitra Niechludowa w *Zmartwychwstaniu* Tołstoja. Wyjechałem więc do Łodzi, do Teatru Powszechnego.

Po czterech latach, trzech głównych rolach, z bagażem doświadczeń wróciłem do Warszawy. Trzeba wspomnieć, że nie tylko teatr był kuźnią mojego warsztatu. Ciągle grałem w filmach – telewizyjnych i fabularnych, intensywnie działałem w radiu i telewizji. W 1979 roku wróciłem pod skrzydła Hübnera – zaangażowałem się do Teatru Powszechnego w Warszawie. Grałem dużo. Z tym okresem wiąże

jedną z ważniejszych ról mojego życia, mianowicie rolę Razumowa w adaptacji powieści *W oczach Zachodu* Josepha Conrada (jest świetna wersja telewizyjna tego przedstawienia). A dla teatru telewizji, również w reżyserii Hübnera, zrealizowaliśmy *Nie-Boską komedię* Zygmunta Krasińskiego w niezwykłych ruinach zamku w Ogrodzieńcu (Jura Krakowsko-Częstochowska). Ja – Hrabia Henryk, Marek Walczewski – Pankracy, Dymna – żona, Trela – diabeł, i inni. Jesteśmy, słusznie, w złotej setce Teatru Telewizji. Nieskromnie powiem, że daliśmy popis gry w światopoglądowym starciu Pankracego z Henrykiem.

Hübner zawsze był dla mnie bardzo ważną postacią. Miałem poczucie, że się mną opiekował, nie tylko artystycznie. Wielu rzeczy mnie nauczył, traktował mnie trochę jak ojciec.

A mój prawdziwy ojciec, Jan – reżyser, poeta – od początku mojej drogi zawodowej służył mi radą. Mówił nieraz, czym dobry artysta powinien się kierować. Podkreślał wagę tajemnicy, niedopowiedzenia. Rola dobrze zagrana to nie ta, która uzewnętrznia wszystkie emocje bohatera. Bardziej wzruszające niż szloch jest powstrzymane wzruszenie, bardziej intrygujący jest gest w kontrze do słowa.

W 1986 roku opuściłem Teatr Powszechny i przez sześć kolejnych lat grałem w teatrze Studio. Jurek Grzegorzewski zaprosił mnie do roli Klaudiusza w *Hamlecie*, z debiutującym Malajkatem w roli głównej. Muszę się pochwalić, że Peter Brook wysoko ocenił sławny monolog króla w moim wykonaniu. Z kolei Tadzio Łomnicki dodał mi skrzydeł, chwalać mnie za Guślarza w *Dziadach* w doskonałej reżyserii Grzegorzewskiego. W 1992 roku wróciłem do Powszechnego. Nie było to już jednak to samo miejsce – zmieniła je niespodziewana śmierć Hübnera w 1989 roku. Z moim kochanym dyrektorem dane mi było współpracować w ostatniej reżyserowanej przez niego sztuce: *Medeia Eurypidesa* z Krystyną Jandą w tytułowej roli (ja, na zmianę z Piotrem Machalicą, byłem Jazonem), a także towarzyszyć mu w telewizyjnej adaptacji *Milczenia morza* w reżyserii Bratkowskiego. Zygmunt Hübner ledwo już mówił. W dialogu z Joasią Szczepkowską dał sobie jakoś radę, ale monologi musiał z mozołem dogrywać.



Trzeba też choć krótko w tym miejscu wspomnieć o realizacji spektaklu Sztukmistrz z Lublina w reżyserii Janka Szurmieja. Kanwą stała się dla reżysera powieść Isaaca Singera o tym samym tytule. W teatrze Roma Jan Szurmiej podjął się trudów rozbudowanej inscenizacji musicalu, który przedtem święcił triumfy na scenie Teatru Współczesnego. Jako już pięćdziesięciolatek chodziłem po stalowej linie, połykałem ogień, popisywałem się zonglerką i jeszcze śpiewałem osiem songów Agnieszki Osieckiej w znakomitej muzycznej oprawie Zygmunta Koniecznego. Wspaniała teatralna przygoda, niestety krótkotrwała – z powodów pozaartystycznych.

W roku 2005 zwyciężyłem w konkursie na dyrektora Teatru Nowego w Łodzi. Pełniłem tę funkcję przez trzy lata. Wróciłem po białostockim Makbecie (w roku 2002) do reżyserii (Rozbity dzban Heinricha von Kleista i To wszystko z miłości Alana Ayckbourna) i zagrałem, być może ostatnią moją rolę teatralną: umierającego Don Juana w Don Juanie w reżyserskiej interpretacji Marcina Jarnuszkiewicza.

Później, już po kadencji dyrektora artystycznego (2005–2008), Pan Bóg pokierował moim życiem w taki sposób, że musiałem dokonać pewnych przewartościowań, przyszedł moment refleksji, zatrzymania się w biegu. Na jednej szali wagi życia znalazła się moja kariera, dotychczasowe osiągnięcia i to, co jeszcze przede mną. Na drugiej szali Pan Bóg położył moją rodzinę: odchodzących rodziców, ciężko chorą żonę, przychodzące na świat wnuki. Długo się nie wahałem, dokonując wyboru. Wiedziałem, że nadszedł czas, aby po cichu zejść ze sceny i wrócić do domu, do najbliższych, poświęcić im czas, którego skąpiłem im przed laty, gdy byłem u szczytu sławy. A poza tym, po czterdziestu latach kariery, kiedy nie raz, nie dwa zmuszony byłem do pewnych kompromisów w pracy z zespołem, nierzadko przeżykając gorycz zdrady własnego sumienia artystycznego, los mi pomógł: czas, w którym przyszło mi dokonać zasadniczych przewartościowań, uświadomił mi, że ja już dłużej na te kompromisy godzić się nie chcę i przede wszystkim nie muszę.

Wydaje się, że po śmierci żony nie jestem już tak aktywny zawodowo jak kiedyś. Błąd. To tylko zawodowe przeakcentowanie. Będąc panem swojego czasu, oddaję się w niewolę wielkiej poezji i jako niegodny pośrednik między autorem a słuchaczem służę Prawdzie i Pięknu. Tej parateatralnej formie artystycznej wypowiedzi towarzyszy zwykle doskonała muzyka instrumentalna i często wokalna. Okazuje się, że ludziom nie wystarcza sztuka komercyjna, że jeszcze wielu, na szczęście, ma wyższe potrzeby.

Do spraw Ojczyzny nie potrafię, już od trzydziestu pięciu lat, odwrócić się plecami. Ten społeczno polityczny rodzaj aktywności ciągle mi towarzyszy. Ale i kochana rodzina mojego syna, szczególnie wnuki, mogą zawsze na mnie liczyć.

Uwolniony jako aktor od teatru, nie miewam już dawnych koszmarów nocnych. Śniłem na przykład, że nie mogę zdążyć na scenę, wiem, że mam już wchodzić, a nie mogę dotrzeć do teatru, kiedy zaś wreszcie wpadam w panice – pustka w głowie – nie wiem, co mam grać, nie znam tekstu. Budziłem się zlany potem, z sercem bijącym jak oszalałe.

\*\*\*

Dość powszechna jest dziś opinia, że główną narodową wadą Polaków jest skłonność do narzekania. Cokolwiek się dzieje, ktokolwiek jest u władzy – jesteśmy niezadowoleni, marudzimy, nie zgadzamy się, twierdzimy, że mogłoby być lepiej. Oczywiście, zawsze mogłoby być lepiej i to naturalne, że poddajemy naszą rzeczywistość krytycznemu oglądowi. Zresztą wielu Polaków ma prawo do niezadowolenia z powodu sytuacji w kraju: bezrobocia, braku politycznej stabilności, braku poczucia bezpieczeństwa wewnętrznego i zewnętrznego, których nie zapewnił poprzedni rząd. Jednak sama krytyka nie wystarcza, jeżeli nie popycha nas do poszukiwania twórczych rozwiązań, dążenia do zmian na lepsze.

W mojej ocenie naszą najgorszą narodową przywarą, zmorą, która od lat blokuje postęp, jest swoisty chocholi taniec: marazm, uśpienie, obojętność,

niezdolność do czynu.

My, Polacy, ciągle zbyt mało mamy (poza kibicowaniem narodowym drużynom sportowym) poczucia przynależności do narodowej wspólnoty, jakiegoś większego „my”. Nazbyt wielu siedzi w swoim własnym fotelu, w swoich kapiach, we własnych czterech ścianach i dba tylko o ten swój mały światek, który daje – fałszywe! – bezpieczeństwo i stabilność. „Byłe polska wieś zaciszna, byłe polska wieś spokojna”...

Przez lata demokracji, o którą przecież wszyscy walczyliśmy, nie wykształcił się w Polakach w odpowiednim stopniu ani nie zakorzenił duch obywatelskości, poczucie, że wszyscy w równym stopniu możemy tworzyć naszą rzeczywistość, że jesteśmy za nią odpowiedzialni. Widać to już u samych politycznych podstaw: nawet kiedy jesteśmy niezadowoleni, większość z nas w dniu wyborów zostaje w domach, zamiast skorzystać z prawa głosu, którego tak brakowało nam przecież za komuny. Możliwe, że to lata PRL-u ukształtowały w nas przekonanie, że i tak na nic nie mamy wpływu, więc wygodniej nam, kiedy inni decydują za nas. Może i wygodniej, ale czy na pewno lepiej – dla nas samych, dla naszych dzieci, dla nas wszystkich?

Zaangażowanie w sprawy kraju i polityki powinno być dla każdego rzeczą najnaturalniejszą pod słońcem. Nie powinno dziwić, szokować ani tym bardziej bulwersować, kiedy ludzie kultury, oświaty czy osoby przynależące do świata artystycznego zabierają głos w sprawach ważnych dla kraju, angażują się w piękne inicjatywy, dbają o przysposobienie patriotyczne młodych pokoleń. Jesteśmy wspólnotą, razem tworzymy nasz kraj, od nas zależy jego dobrobyt i stabilność. Można powiedzieć, że każdy z nas jest politykiem. Ja także. Połowa mojego życia, nie licząc młodzieńczych i studenckich patriotycznych uniesień, to równoległe z aktywnością zawodową, działalność związkowa i wspieranie tych ugrupowań politycznych, tych polityków, którzy dawali nadzieję na dobrą zmianę.

Osoby, którym – jak mnie – zależy na prowadzeniu dojrzałej, odpowiedzialnej debaty politycznej, do niedawna musiały się jednak liczyć z tym, że nie będzie im łatwo, w dużej mierze byliśmy partyzantami walczącymi o słuszną sprawę. Jeszcze

nie tacy niezłomni, ale na pewno wyklęci przez pewne media, które blokowały naszą obecność w szerszym obiegu, ośmieszały nas, a nawet prowadziły nieustanną kampanię nienawiści, przewrotnie nam ją zarzucając, cynicznie nazywając prawdę kłamstwem, a patriotyzm nacjonalizmem. A my niezmordowanie walczyliśmy po prostu o prawdziwie wolną Polskę, nie o reglamentowaną wolność, tylko o prawdziwą demokrację i wolność dla wszystkich. Najbardziej był nam wtedy potrzebny szacunek dla konkurenta politycznego, umiejętność słuchania, prowadzenia dyskusji, a nie polityka, której główną bronią jest straszenie opozycją: „Nam ufajcie, bo jak ONI przyjdą, będzie trzeba się po piwnicach chować!”.

To, co za rządów poprzedniej kadencji działo się w kraju, to, jakie zapadały wyroki w sądach, jaka była zapaść w kulturze, w oświacie, służbie zdrowia, ile było afer, jak ubogi był skarb państwa po dzikiej wyprzedaży majątku narodowego, byle załatać budżet – jakie długi! jaka fala emigracji! – to wszystko obrazowało, że Polsce daleko było do państwa prawa i sprawiedliwości. Cieszę się, że wreszcie mamy prawo i sprawiedliwość przez małe i przez duże „p” i „s”.

Warto też sobie uświadomić, że patriotyzm i odpowiedzialność polityczna nie są wrodzone, nie są nam dane – trzeba je wpoić młodym pokoleniom, wypracować u nich. Co istotne, najmłodsze współczesne pokolenia żyją w czasach, kiedy nie trzeba walczyć o wolność – swoboda wypowiedzi i poglądów jest dla nich już standardem. Choć, jak pisze Karol Wojtyła w poemacie *Myśląc Ojczyzna*, „wolność trzeba stale zdobywać” – tę wolność codzienną, wolność sumienia, wolność podejmowania decyzji odważnych, w zgodzie ze sobą.

Ludzie mojej generacji byli świadkami historii. Ich ojcowie oddawali życie za kraj, za wolność, prawdę, honor. Pokój, względna stabilizacja, wydawały nam się kruche i nieoczywiste, żyliśmy w ciągłym lęku i poczuciu zagrożenia. Demokracja ma dla nas walor wartości wywalczonej, osiągniętej wyrzeczeniami, ryzykiem, poświęceniem. Dobrze by było, gdyby udało się pielęgnować to uczucie u naszych dzieci i wnuków. Pamiętajmy, że od nas dziś zależy to, jak będzie wyglądała Polska za kilkadziesiąt lat. Czy zachowamy tożsamość, kulturę, prawdę historyczną, przekazując ją następnym pokoleniom? W tym kontekście tak ważna jest edukacja

patriotyczna, już od najmłodszych lat.

Sądzę, że ogromne znaczenie ma obchodzenie, wręcz kultywowanie, polskich rocznic. Trzeba chronić naszą narodową pamięć i jeżeli są jakieś okrągłe jubileusze, to należy je wykorzystywać jako szansę przypominania wielkich postaci, a dzięki temu kształtowania świadomości politycznej. Sam z okazji jubileuszu Mickiewiczowskiego napisałem *Idę z daleka, nie wiem, z piekła czyli z raju*; w dziesiątą rocznicę śmierci Herberta ułożyłem *Arię pożegnalną z jego późnych wierszy*. Z okazji 150. rocznicy Powstania Styczniowego objechaliśmy z muzykiem Robertem Grudniem cały kraj z pieśniami i poezją opisującą te wydarzenia, choć większość sejmowa nie uznała za stosowne uczcić tego jubileuszu. Podobnie 70. rocznicę wybuchu Powstania Warszawskiego opisaliśmy muzyką i poezją w wielu zakątkach kraju. W 2016 roku obchodzimy 1050-lecie Chrztu i 100-lecie odzyskania niepodległości!

Fascynuje mnie nasza polska historia i łapczywie do niej sięgam, czy to w wydaniu Normana Daviesa, czy teraz szczególnie profesora Andrzeja Nowaka, który wydał już pierwszy tom *Dziejów Polski do roku 1202* i ambitnie chce dotrzeć do 2020.

Nagraliśmy płytę *Podziemna armia powraca* (teksty i muzyka Leszek Czajkowski). Tę bolesną lekcję niedawnej historii wyśpiewujemy Polakom tu, w kraju, i dla Polonii. Szczególnie dramatycznie brzmią te pieśni w kontekście mozolnych poszukiwań profesora Szwagrzyka, który, ze swoją ekipą, próbuje przywrócić szczątki Niezłomnych rodzinom i naszej pamięci.

Zdaję sobie jednak sprawę, że moja działalność i moje poglądy do tej pory miały szansę dotrzeć do dość ograniczonego kręgu odbiorców. Do niedawna w Polsce była reglamentowana wolność, reglamentowany obieg kultury. Dostęp do tego oficjalnego mieli ci, którzy wspierali rządzących. Niczym za czasów komuny musiał się wytworzyć niejako drugi obieg kultury, na czele z wybitnym poetą Rymkiewiczem. Cieszę się, że obecnie rządząca partia – Prawo i Sprawiedliwość – normalizuje kraj, wprowadza dobre zmiany w wielu dziedzinach życia społecznego.

Po raz pierwszy od wielu lat patrzę w przyszłość z nadzieją. Po latach zaniedbań w wielu sferach: służby zdrowia, obronności, kultury i mediów, Polska wreszcie wraca na właściwy tor. Rządzą nami uczciwi ludzie, którzy nie tylko znają się na swojej pracy i dobrze wykonują swoje obowiązki, ale przede wszystkim traktują je jak służbę dla wartości najwyższej, jaką jest nasza Ojczyzna. Polacy wreszcie się obudzili i wyrazili w ostatnich wyborach swój sprzeciw dla koleśostwa, obłudy, zniechęcenia i politycznego marazmu, którymi byliśmy ostatnio karmieni. Wierzę, że teraz mamy szansę rozwoju we wszystkich sferach życia społecznego, że przed nami lata rozkwitu.

Polska jest przepięknym krajem, który ma duży potencjał. Jest atrakcyjna zewnątrz – zachwyca cudnymi krajobrazami – od gór, przez łąki i lasy, aż po Bałtyk, ale i wewnątrz: to tutaj wychowali się wielcy Polacy, którzy rozślawili dobre imię naszego narodu na całym świecie i udowodnili, że przy zaangażowaniu, dobrych chęciach i poszanowaniu najwyższych wartości potrafimy wszystko osiągnąć. Całą naszą uwagę i energię powinniśmy więc teraz poświęcić wychowaniu kolejnych pokoleń wspaniałych młodych Polaków. Przekażmy im narodową mądrość i dumę. Niech z podniesionym czołem świadczą, że być Polakiem to znaczy być mądrym, twórczym, uczciwym człowiekiem, dla którego nie ma rzeczy niemożliwych. I niech się tego od nas wszystkich uczą!

\*\*\*

Jest już rok 2023. Siedem lat po napisaniu tych wspomnień. W przytoczonych fragmentach mojej książki nie zdołałem prześledzić większości mojej drogi zawodowej. Spróbowałem ostatnio zsumować moje dokonania artystyczne. I, ku mojemu zdumieniu, okazało się, że sporo tego było:

*ROLE FILMOWE* (licząc filmy telewizyjne) – 75, w tym 23 główne.

*ROLE W TEATRZE TV* – 37, w tym 13 głównych.

*ROLE W TEATRACH* – 55, w tym 33 główne.

Poza tym tak zwane *monodramy* – około 10.

*Występy w radio i na estradzie.*

*Własne adaptacje.*

Oraz *reżyseria* – 3 teatralne i 2 w teatrze TV.

